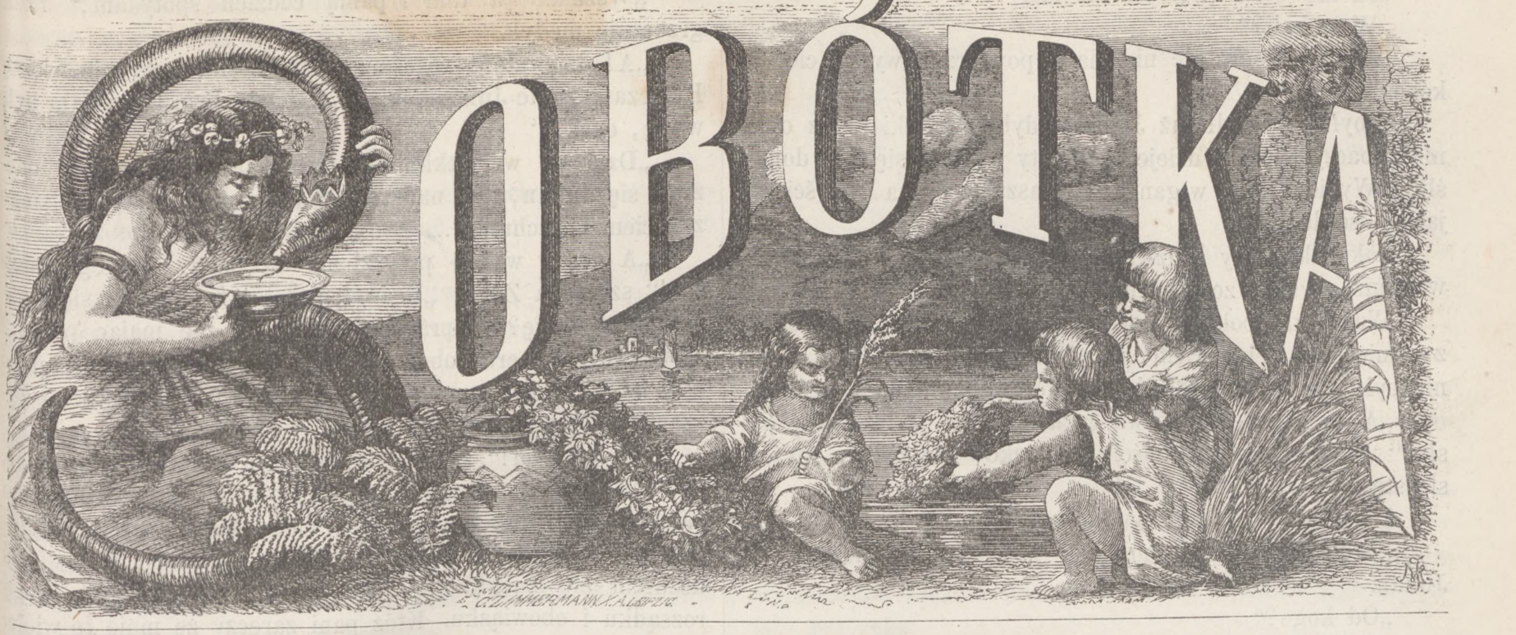
Nr. 18. Poznań, dnia 29. Kwietnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zdziwienie w pałacu było wielkie, gdy Zosia zaproszona na obiad i na przegranie z hrabiną ulubionego jéj kwintetu Schumana na cztery ręce — nie przybyła. Czekano chwilę, potém dano do stołu, potém sądzono iż przyjdzie po obiedzie, aż hrabina która swym fantazyom wszelkim, a szczególniéj muzykalnym lubiła dogadzać — trochę się pogniewała. Szepnęła Caricie! Czemuż choć nie dała znać jeśli chora, lub jéj co przeszkodziło? to — niegrzecznie.

„Ale może by posłać się dowiedzieć?“ dodała włoszka. Młody hrabia który podsłuchał rozmowę, ofiarował się pójść sam, szczęściem hrabina nie przyjęła wniosku, skinęła na Juliana.

„Mój doktorze,“ odezwała się do niego na ucho, „proszę cię uczyń to dla mnie, przejdź się na folwark i dowiedz co się tam dzieje. Panna Zofia przyrzekła mi być na obiedzie i grać ze mną, nieprzyszła na obiad, zdaje się że już nie będzie i — nie dała mi znać. Więc chyba chora, lub kto w domu.“

Julian się skłonił i wysunął rzucając ukośne wejrzenie na Caritę, która przeprowadziwszy go ironicznym uśmiechem do drzwi, zakręciła się po salonie i po zręcznych kilku obrotach znalazła się przy ks. kapelanie, z którym dosyć rozmawiać lubiła. On téż zapewne w celu nawrócenia zbłąkanéj owieczki, nie unikał jéj. Hrabina z Margockim i Edmundem sposobili się do ulubionego staremu panu whista z dziadkiem.

Julian który od niejakiego czasu coraz był rzadszym gościem na folwarku, szedł teraz jako wysłaniec hrabinéj, nie bez pewnego pomięszania. Towarzystwo pałacowe do którego się bardzo garnął w początku, które mu się podobało niezmiernie, teraz po bliższem w nie w tajemniczeniu wcale go nie zaspokajało. Często, bardzo już często tęsknił i żałował chwil swobodnych spędzonych w wesołem towarzystwie Zosi. Duma wszakże wrócić tam nie dopuszczała.

Dla czego taż sama duma nie czuła się ani draśniętą, ani upokorzoną, obejściem się z nią osób z otoczenia hrabinéj — to sobie wytłumaczyć trudno.

Na ganku Julian znalazł pilnie stróżującego Jakóbka, któremu spełnienie powierzonych obowiązków leżało na sercu. Widział z daleka że Julian szedł z pałacu, miał wyraźny rozkaz nie wpuszczania nikogo z tamtąd przychodzącego — nastroił się więc we drzwiach i rzekł uroczyście:

„Panny niema, panienki niema i jegomości niema!“

Zdumiony medyk słuchał niemogąc zrozumieć.

„A gdzież są?“

„Ja nie wiem (sic) ale nie ma.“

„Wyjechali?“

„Ja nie wiem, ale nie ma,“ powtórzył wyraziście Jakóbek.

I byłby odszedł już Julian, gdyby Ostójski przez okno nie zobaczył co się dzieje i głupoty Jakóba się nie domyślił. Wybiegł sam w ganek zapraszając Julka... i ściskając go serdecznie.

Jakóbek który sądził, że otrzyma pochwałę, a oberwał burę, wielce został zdumiony.

Weszli do pokoju, gdzie na nich już Zosia czekała z uśmiechem i błyskiem szczęścia na czole... Cioci jakoś nie było, bo zajmowała się przygotowaniami do podróży.

„A to jakaś szczęśliwa gwiazda nam tu was przyniosła!“ zawołał ojciec, „boście od wieków nie byli, a myśmy się stęsknili za wami.“

I począł go ściskać na nowo.

„Jam przyszedł w misyi i poselstwie,“ odezwał się Julian.

„Od kogo?“

„Od hrabinéj. Panna Zofia przyrzekła jéj być na obiedzie i grać z nią. A że nie dała znać co przeszkodziło, hrabina niespokojna przysłała mnie zapytać... czy kto nie chory?“

„Nikt nie chory!“ odezwał się Ostójski, „tylko, rzecz prosta, ja ojciec, nagle postanowiłem Zosię wywieść na świeże powietrze, nie oznajmiwszy jéj o tém, dziś pakujemy tłumoki, nie było czasu nawet posłać przeprosić... jutro jedziemy.“

„Jutro? państwo jadą? dokąd?“ zapytał Julian, „tak nagle?“

„Nie, projekt był od dawna, tak się jakoś zwlekło,“ rzekł Ostójski, „a że Zosia nie jest przeciw temu... pojedziemy na winogrona nad Ren... albo do Tyrolu... bo jeszcze sam niewiem.“

Julian słuchał nie dobrze rozumiejąc, Zosia patrzała nań... wszyscy zamilkli.

„Przepraszam cię, kochany Julianie,“ dodał nagle Ostójski, „na chwilkę muszę odejść, zostawiając cię z gosposią moją, ona ci reszty dopowie. Ja zaraz powrócę, mam coś pilnego zadysponować.“

To wyjście ojca, co Zofia pono doskonale zrozumiała, nie miało innego celu, prócz dania im czasu aby się z sobą mogli rozmówić swobodnie, bo gospodarz wpadł do swego pokoju i siadł sobie na fotelu, okręcając palec około palca i uśmiechając się do własnego dowcipu.

Julian któryby był mógł szczęśliwym się uczuć z téj darowanéj mu chwilki, zakłopotanym był tylko mocno... Zosia także.

„Przecież“ odezwała się, „choć hrabinie winni jesteśmy że pana u siebie widziemy. Szczęśliwsze od nas pałace, bo tam pan codzień jesteś, u nas — nigdy. Czy czarne oczy téj ślicznéj Carity tak ciągną?“

Julian się zarumienił, tłumaczenie było trudne.

„Te czarne oczy,“ rzekł, nie ciągną nikogo, bo chciałyby nadto wszystkich ku sobie pociągnąć.“

„Więc cóż tam ma taki urok dla pana?“ spytała Zosia.

„Wszakże ja tam i panią codzień spotykam,“ rzekł grzecznie medyk.

„A! dziękuję!“ roześmiała się Zosia, „ale nie wierzę. Był czas, panie Julianie kiedy... kiedy bym temu dała była wiarę, dziś...“

„Dziś we wszystkim się trzeba bronić urokom,“ odezwał się Julian, „bo nadszedł czas surowéj pracy i ścisłego z życiem obrachunku... z przyszłością.“

„A my w waszéj przyszłości nie mamy żadnego miejsca!“ szepnęła Zosia. „Bezwstydną téż jestem, że się o nie upominać ważę? nieprawdaż? żadnego nie mając prawa? Tak... myśmy teraz obcy sobie... Ale przypomnij pan że były chwile gdyśmy snuli tę przyszłość jakoś inaczéj i łącząc z sobą jéj plany i nadzieje...“

„Pani! pani!“ zawołał Julian, „na cóż to przypominać, byliśmy dziećmi... świat nam się wydawał jakiemś eldorado zamieszkałym przez aniołów — wielu uczuć, myśli, względów nie mieliśmy pojęcia... Cóżem ja winien że — dziś uczułem się zuchwałym, szaleńcem i wchodzę na drogę rozsądku i obowiązku. Któż pani zaręczy że mnie to wiele, wiele nie kosztuje?“

„Doprawdy, ja także teraz nawet się z panem rozmówić nie umiem,“ mówiła Zosia, „dawniéj to nam tak szło ładnie i dobrze... pół słowa starczyło by myśl przelać, dziś w sta obwinięta jeszcze zrozumiałą nie będzie. Pan mnie nie chcesz, ja pana nie mogę zrozumieć.“

Julian uczuł się wzruszonym, ale natychmiast poskromił w sobie ten zaród słabości.

„No, kiedyż my się zobaczemy?“ spytała go weseléj Zosia, któréj oko odgadło uczucie — kiedy i gdzie? „zabawisz pan tu długo? czy my go zastaniemy?“

„Wątpię, rzekł Julian, „ja wprędce jechać będę musiał...“

„A powrócisz?“

„Czyż mogę oznaczyć? Bóg wie jeden.:.“

„Może was matka pociągnie tu, a my z tego skorzystamy...“

Julian obawiając się osłabnąć już brał za kapelusz i drżącą rękę podał Zosi — która ją poufale zatrzymała.

„Czekaj pan,“ rzekła z powagą i wzruszeniem, „na odjezdnem muszę panu zostawić słowo jedno, którego niepowinieneś zapomnieć. Serce moje wstrzymać go nie potrafi — kochaliśmy się dziećmi, dziś — losy nas dzielą. Ja czytam w duszy waszéj, lękasz się bogatéj dziedziczki... Wiedz panie Julianie jedno, że ci ta dziedziczka będzie umiała czekać póki ty nie staniesz się równie bogatym. Znajdziesz ją wierną dawnemu uczuciu, spokojnie oczekującą... i ufną w to, że dwa serca które czyste połączyło uczucie, nawet po chwilowym obłędzie powrócić do siebie muszą. Na to ci rękę moją daję...“

To rzekłszy, nagle się odwróciła i wybiegła. Julian stał jeszcze uderzony temi słowy; wzruszony, gdy Ostójski wszedł udając pospiech jakby z dalekiéj wracał przechadzki.

„Cóż to jest? gdzie Zosia?“

„Tylko co wyszła,“ rzekł Julian... „a ja muszę państwa pożegnać, bo mi trzeba wrócić zdać sprawę hrabinie.“

„Dobrze, zawołał Ostójski, „idź, spraw się, ale potém

wymknij i jeżeli jesteś nam przyjacielem, wróć do nas dziś jeszcze... Spędzim razem wieczór ostatni.“

Zosia powróciła wesoła na pozor.

„Łączę moje prośby do ojcowskich... Wróć pan na chwilę...“

Julian się wahał — „będzie późno!“

„Czekamy choć do północy,“ rzekł ojciec, „bo się musiemy pakować, rachować — a spać się nikomu dziś nie chce.“

„Czy mam powiedzieć, że państwo wyjeżdżają?

Ostójski się namyślił — kłamać zawsze brzydko, a znowu... oznajmić im, to tak jakbyśmy chcieli być zatrzymywani. „Powiedz pan, że familijny interes bardzo pilny przypadł niespodzianie, że być może iż jechać wypadnie. A sam przychodź...“

„Przyjdziesz pan?“ spytała Zosia.

„Przyjdę koniecznie!“ rzekł ze łzą jakąś w oku Julian zmieniony i poruszony...

Zosia pogoniła za nim wzrokiem i wyszła do swojego pokoju smutna i szczęśliwa razem...

Julian pospiesznie biegł ku pałacowi.

W téj chwili nie był on już panem siebie, zwyciężyła go Zosia — cała dawna miłość odezwała się znowu i widział z rozpaczą, że zdobyta z taką pracą obojętność, jednem jéj poczciwem słowem została zgruchotaną. Był jéj wdzięcznym, ale postanowił się trzymać... Cóż, kiedy teraz na własne swe postanowienia nie wiele już rachował...

W pałacu nikt się nie domyślał rannéj owéj historyi, jeden Margocki dośledził że był Ostójski, ale po co i w jakim stanie wyszedł, nie wiedział. Przypuszczał że sprawa pieniężna być musiała. Gdy Julian wszedł do salonu, hrabina spytała go głośno:

„Co się Zosi stało?“

„Przeprasza najmocniéj, ale wina nie panny Zofii tylko ojca. Otrzymali niespodzianie jakąś wiadomość... tyczącą się familijnych interesów, która nagle zmusiła do... pisania... radzenia, a może nawet do wyjazdu zmusi...“

„O! mój Boże! ale cóż to jest?“ odezwała się hrabina, „jużciż Zofia nie pojedzie?“

„Niewiem zgoła,“ rzekł Julian.

Hrabia stary grając whista nie stracił słowa z téj rozmowy, chociaż zdawał się tylko kartami zajęty — Edmund odwrócił się cały ku Julianowi.

„Czyżby mieli jechać?“ spytał.

„Pan Ostójski sam jeszcze nie wie...“ odpowiedział Julian, „mnie proszono w pomoc do pisania listów i będę musiał wracać natychmiast.“

Margocki skorzystał z chwili gdy rozdawano karty, odciągnął Juliana w stronę... „Co to jest? pan nie mówisz wszystkiego? czy im się co stało?“ zapytał.

„Nie wiem, istotnie nie wiem,“ odezwał się Julian.

„Czy jadą?“

„Być może, pan Ostójski zakłopotany...“

„Strata jaka?“

„Nie powiedziano mi...“

„Jeśli jadą, to zapewne za dni parę?“ wtrącił plenipotent.

„Ja myślę...“

„Zdawało mi się,“ dokończył Margocki, iż wszystkie ich stósunki i interesa znam doskonale, a to cóś zagadkowego, czego nierozumiem.“

Julian się wymknął. W drodze jako mąż baczny i przewidujący uczynił mocne postanowienie unikania rozmowy z Zosią sam na sam, obawiał się bowiem aby pod jéj wzrokiem nie postradał resztki samoistności.

„Winienem to méj godności człowieka — winienem... jéj i sobie... Trzeba wytrwać.“

Jakoż wytrwał aż do ganku folwarku, na którym może przypadkiem czekała nań panna Zofia. Uśmiechając się podała mu rękę.

„Panie Julianie,“ szepnęła, „teraz gdy ja, słaba niewiasta, jak mówi Ciocia, odważyłam się na wyspowiadanie wielkiéj tajemnicy, gdy pan wiesz wszystko o mnie, a ja widzę jasno w waszéj duszy, nie unikajmyż siebie, nie bójmy się i bądźmy po staremu dobrymi przyjaciołmi...“

„Chodź pan do ojca i pomóż mu liczyć pieniądze na drogę, a radź dokąd jechać mamy...“

Ostójski przyjął gościa w otwarte ramiona, za to panna Klara bardzo kwaśno. Oświadczyła ona, że w podróż się nie wybierze i pozostanie przy gospodarstwie. Łatwo się dorozumieć, iż wyjazdowi była z zasady przeciwną.

„Zosia i mój brat,“ mówiła głośno, „mają to w charakterze iż postępują sobie bez głębszego zastanowienia. Jechać? jechać? dokąd? nie zdawszy sobie sprawy dla czego i czy wymogi położenia zmuszają w saméj istocie do tak stanowczego kroku... Gdy dodamy,“ kończyła, „iż dla rólnika chwila ta w przebiegu czasu jest pierwszéj wagi... iż to wszystko leży w pilnym wzroku głowy domu... o! co za lekkomyślność nieprzebaczona!“

„Ale me rady są zawsze odrzuconemi, mój pogląd uchylony, me życzenia systematycznie poczytywane za niedorzeczne — ja dla nich jestem nieznośną Kassandrą... Dobrze! milczeniem zawrę me usta, zawrę me serce milczeniem; ale zostanę wierna przekonaniom na stanowisku obowiązków...“

Ostatnie wyrażenie tak pięknie brzmiały jéj saméj w uszach, iż gotowa była przebaczyć bratu i siostrzenicy, za to że jéj nastręczyli sposobność do tak wymównego wysłowienia.

(C. d. n.)

JÓZEF KORZENIOWSKI
I WYDAWNICTWO DZIEŁ JEGO.

(Dokończenie.)

Najcharakterystyczniejszą cechą zdolności Korzeniowskiego (słowa nekrologu w „Gazecie Warszawskiéj“) była rozważność, poszanowanie formy i miary. W pismach swoich, wprawdzie w powieściach więcéj jeszcze niż w dramatach, panował nad swoim przedmiotem, nie pozwalając się mu porwać za nadto, wznieść za daleko, obmyślając ogół i obrabiając cząstki, aby dać całość zupełną i wykończoną. Nie posiadał on owego improwizacyjnego usposobienia, które stwarza rzeczy będące arcydziełami w częściach, nierówne w całości, porywające chwilami a miejscami słabnące; nie malował à la prima z potęgą, ale rysował, modelował i wykończał pracowicie. Porównać go można niekiedy do owych Flamandów, którzy, jak Gerard Dow, zamieniają potęgą sztuki najdrobniejsze przedmioty w arcydzieła. Wielkie i piękne studya ułożyćby można z porównania między Korzeniowskim, a współczesnymi jeszcze innymi naszymi powieścio-pisarzami, Ignacym Chodźką, J. I. Kraszewskim, Henrykiem Rzewuskiem, Michałem Grabowskim, Zygmuntem Kaczkowskim, Tomaszem Jeżem, których wspólne usiłowania i talenta tak rozmaite, wyrwały nas z pod wpływu literatury obcych, a zwłaszcza francuzkiéj. Przyszły historyk literatury krajowéj, na którego czekamy napróżno, będzie tu miał szerokie pole, kiedy po określeniu wielkich geniuszów naszéj poezyi, przejdzie do owych talentów, rozprowadzających powszechnie myśli, przez tamtych rzucone. Być może nawet, że ci drudzy więcéj mu jeszcze pola przedstawią, bo nie trzymając się na ostatecznych wyżynach myśli, zstępując więcéj ku ludowi, zniżając się, że tak powiem, do maluczkich, lepszem, a razem wyrazistszem są odbiciem ich uczuć, przekonań i dążeń, niż tamci pierwsi.

Wybitną także cechą talentu Korzeniowskiego jest doskonała znajomość uczuć ludzkich i sprężyn jakie niemi poruszają. To téż mimo dydaktycznych i długich opisów, umie on utrzymać interes czytelnika do końca. Nigdy niestarzejące się uczucie miłości, dostarczało powieściom Korzeniowskiego niewyczerpanego materyału — umiał on to uczucie schwycić i przedstawić w jednym nowym, świeżym, interesującym rysie.

Co do dzieł dramatycznych nie dosięgają one wartości powieści — tam forma jest misternie wykończoną, tu treść przeważa nadto formą. Być może studya nad Szekspirem wpłynęły na ten kierunek. W każdym jednak utworze dramatycznym Korzeniowskiego mnóstwo jest scen które żyć będą długo, bo prawda z jaką często chwytał sceny z życia, zawsze powab mieć będzie. „W każdéj z mnóstwa mniejszych i większych jego komedyi“, mówi Siemieński, „często bardzo względnéj wartości, zawsze można natrafić choć na jedną scenę, gdzie jest jakiś rys na uczynku schwycony z natury, który świeci jak brylancik, choć w pospolitéj oprawie.“

Korzeniowski wespół z J. I. Kraszewskim należą do tych nielicznych a najwpływowszych pisarzy, którzy jak mówią naukę czytania po polsku w Polsce rozpowszechnili. Jest to zasługa którą kiedyś historyk polski podniesie do rzędu zasług, jakiemi mało powołowanych poszczycić się może. Wpływ Korzeniowskiego był także wielki i na scenę narodową. Sam autor przywiązywał do swoich utworów dramatycznych więcéj znaczenia, niż do powieści; ale bo teatr jest nieskończenie silniejszą i przystępniejszą dźwignią duchową.

Wiele utworów dramatycznych Korzeniowskiego przełożono na obce języki: Okno na pierwszém piętrze grywano z powodzeniem w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu.

* *
*

Rzuciwszy okiem na życie i prace Korzeniowskiego, przejdźmy teraz do wydawnictwa dzieł jego, podjętego nakładem S. Lewentala i pod redakcyą Kłosów. Im mniéj prac oryginalnych dziś na świat wychodzi, tém pożądańsze są przedruki pisarzy stojących na tym stopniu, jak znakomity powieścio-pisarz i dramaturg Józef Korzeniowski. — Wielką przeto jest zasługą pana Lewentala, że się na przedsięwzięcie to rzucił, i że nabycie dzieł Korzeniowskiego publiczności ułatwił.

Kłosy z dodatkiem dzieł Korzeniowskiego kosztują w Prusiech kwartalnie 3 tal. 20 sgr. z przesyłką pocztową.

Dzieła Józefa Korzeniowskiego wychodzą po jednym tomie kwartalnie, objętości 30 arkuszy in 8vo ścisłego druku, cena którego dla osób prenumerujących Kłosy lub Tygodnik Romansów i Powieści wynosi 1 tal. tylko; osoby zaś nieprenumerujące żadnego z tych pism płacą po 2 talary.

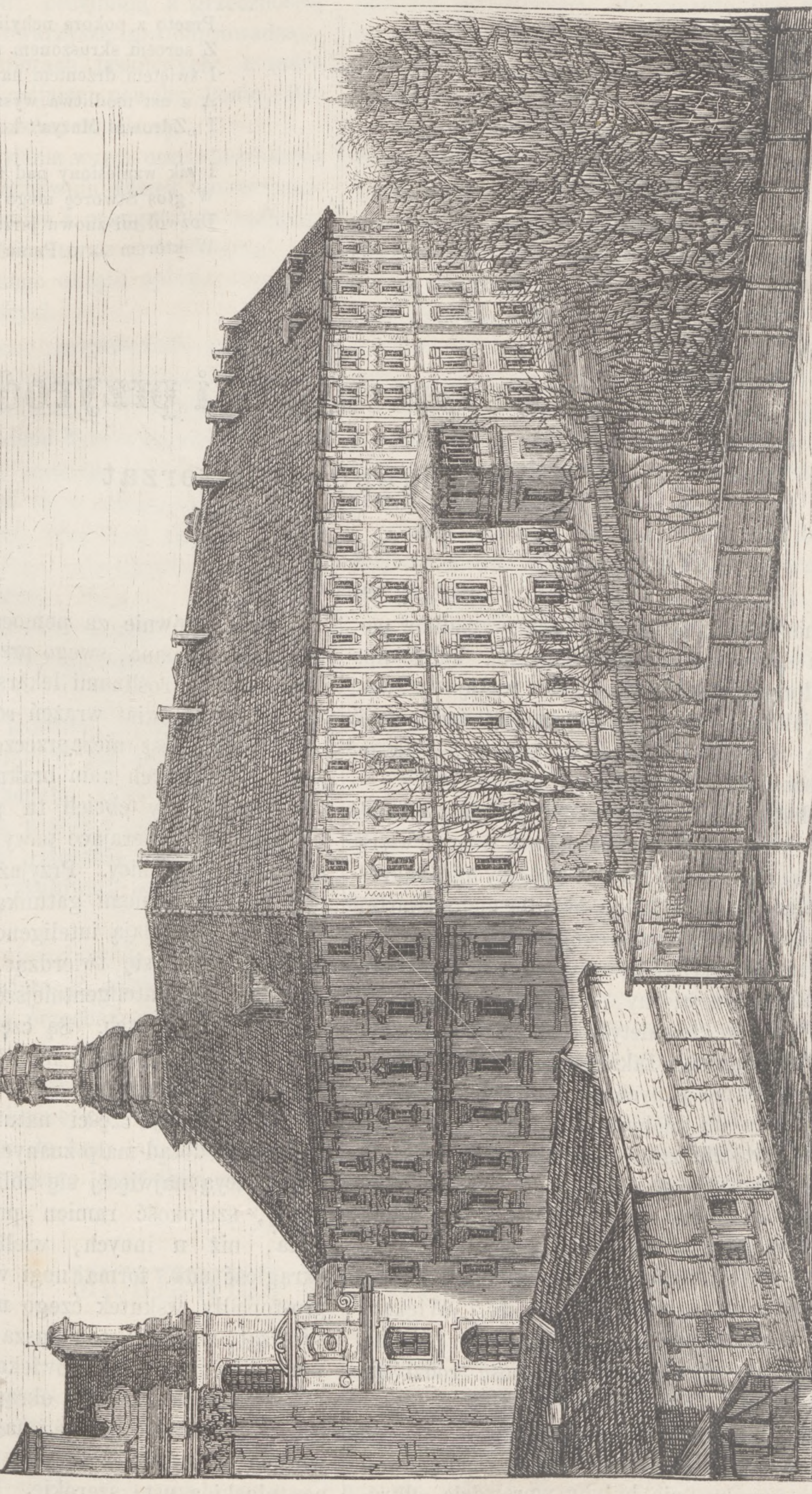
Ponieważ całe wydawnictwo dzieł Józefa Korzeniowskiego obliczone zostało na dziesięć tomów, mających dla prenumeratorów Kłosów lub Tygodnika Romansów i Powieści kosztować tal. 10, przeto w razie koniecznego powiększenia liczby tych tomów, lub mieszczącéj się w nich ilości arkuszy, Wydawca obowiązuje się nie podnosić ceny ogólnéj nad kwotę wspomnionych dziesięciu talarów. Osoby zaś nieprenumerujące Kłosów lub Tygodnika Romansów i Powieści, zapłacą za każdy tom po 2 tal. bez względu na mogącą się okazać ilość takowych.

Dodać tu jeszcze winniśmy że wydawnictwo to obejmie utwory nie wydrukowane dotąd, między innemi tragedyę w formie klasycznéj p. t. Pelopidowie, dramat p. t. Bitwa pod Mozgawą i t. d.

W Królestwie liczba abonentów Kłosów, w skutek tego wydawnictwa do 6000 wzrosła. Spodziewamy się że i nasza publiczność mając tak przystępne warunki, usiłowania wydawcy poprze. — Na król. Pruskie i W. Ks. Poznańskie skład główny w księgarni M. Leitgebra i Spółki.

Warszawa.

Artur Z.



Kolegium jezuickie w Poznaniu (Regencya).

NAWRÓCONY.

W kościoła gmachu w modłach ją widziałem
Kornie klęczącą przed Panem nad Pany
I swą Patronką — Matką i Dziewicą.

I dreszcz mnie przeszedł gdy ją tak ujrzałem,
Bo się uczułem niewiarą skalany —
Czarnym i sprosnym przed tą gołębicą.

I strach mię przejął — bo mi się zdawało
Że Bóg przyzwany modłami anioła
Napełnił Sobą tę świątynię całą.

Przeto z pokorą uchyliłem czoła,
Z sercem skruszonem padłem na kolana
I świętem drżeniem napełniony cały...
A z ust modlitwa wyszła zapomniana
I „Zdrowaś Marya" kornie powtarzały...

I tak wzniesiony nad ziemskie padoły
W głos Stwórcę mego gotów byłem prosić:
Dozwól mi znowu jarzmo Twoje nosić,
W którém — o Panie — takie masz anioły!

J. S.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

O Inteligencyi Zwierząt

przez

Dra. C. F.

(Dokończenie.)

Bylibyśmy w możności przytoczenia wielu wypadków podobnych, mogących służyć za przykład ludziom. Jakże np. jest podziwienia godne zachowanie się ptaków względem swego potomstwa. Z jakiem wytrwałem staraniem ścielą one gniazdka i zbierają żywność dla swoich piskląt! — jak je bronią od niebezpieczeństwa grożącego!

Jeden z naturalistów dzieli zaszczyt panowania na ziemi między człowieka i psa. „Tylko człowiekowi i jego wiernemu przyjacielowi", mówi on, „natura granicy nie zakreśliła — ziemia od bieguna do bieguna jest dla nich otwartą. Jeżeli gleba odmawia środków egzystencyi — łączą oni inteligencyę swoją i swój instynkt by z powietrza lub wody takowe wydobyć. Pies, ten wierny przyjaciel, tak bogato obdarzony jest od natury, że nietylko służy do naszego użytku, ale i do przyjemności. Takiemi są wyżły i charty. Instynkt obu tych rodzai nie popycha ani do zdobyczy, ani do obrony, ani w końcu do zdobywania przemocą potrzeb życia; człowiek tylko, w celu zrobienia polowania obfiszem i przyjemniejszem, skierowywa go ku swemu użytkowi.

Zwracamy w końcu uwagę czytelnika na jedną z wybitnych cech psa, a tą jest węch. Węch panuje w całéj jego organizacyi i nieledwie absorbuje wszystkie inne zmysły. W człowieku wzrok trzyma pierwsze miejsce. Większa część naszych nauk zasadza się na spostrzeżeniach zrobionych za pomocą wzroku; nie jedna namiętność rodzi się w oczach. (Miłość głównie).

Robiąc klasyfikacyę zdolności psa, widziemy że węch gra pierwszą rolę. Jeżelibyśmy zdolność tę spotęgowali u człowieka kosztem wzroku, nie byłyby wprawdzie odkrycia robione z łatwością ani w astronomii ani w mechanice, ale za to meteorologia, fiziologia medyczna, znajomość roślin i t. d., opierając się na węchu, wielkiegoby ułatwienia w postępie doznała.

Pies, głównie za pomocą węchu a nie wzroku rozpoznaje swego pana, swego przyjaciela lub nieprzyjaciela, wybiera między roślinami lekarstwa, ocenia pokarm i t. d.

Jakiż to świat wrażeń różny od naszego!

Faktem jest niezaprzeczonym, że pies posiada pewne zdolności, których nam braknie.

Jeżelibyśmy chcieli tu przedstawić wszystkie dowody i przykłady popierające powyższe twierdzenia, studya nasze nie miałyby granicy. Przyjaźń i nienawiść, harmonia istniejąca między różnemi gatunkami, wszystko to dowodzi, że zwierzęta posiadają inteligencyę, mającą analogię z naszą. Leibnitz mylił się twierdząc, że najgłupszy z ludzi w porównaniu z najinteligentniejszem zwierzęciem ma więcéj zdatności rozumujących. Są części naszéj ziemi, gdzie ludzie brutalstwem, złością i inteligencyą niżéj stoją od pewnych zwierząt dobréj natury.

U większéj części naturalistów, małpa szimpans, ze wszystkich dotąd małp znanych, nie tylko mózgiem ale i całą organizacyą najwięcéj się zbliża do człowieka. Konstrukcya głowy, szerokość ramion propozcyonalniéjsza w stósunku ciała, niż u innych, wielkość i wydoskonalenie palca, okrągłość uda, forma nogi więcéj ludzka i chód nieledwie prostopadły, wskutek czego natura głosu różna od innych zwierząt, wszystko to zmusza gatunek ten z pomiędzy małp wyróżnić i najbliżéj człowieka postawić.

Małpa ta ma czoło okrągłe, ale ukryte przez wydatność brwi, oblicze jest ciemne i nagie, prócz policzków pokrytych włosem nakształt faworytów; oczy małe i pełne wyrazu; nos płaski a usta szerokie. Wzrost szimpansa dochodzi od 5 do 6 stóp i kiedy wesprze się na kiju, przez chwil kilka iść może prosto.

Inteligentna ta istota zamieszkuje Afrykę a mianowicie lasy Congo i Gwinei.

W młodym wieku szimpanse są bardzo wrażliwe na naukę; uczą się one łatwo zachować przyzwoicie jak ludzie cywilizowani w pokoju i przy stole; jedzą wszystko, głównie zaś słodkie pokarmy; przyzwyczajają się do likieru mocnego; używają noża, widelca i łyżki; przyjmują z grzecznością osoby przychodzące z wizytą, towarzyszą im i odprowadzają.

Szimpans lubuje się w kolorach jaskrawych; z zadowolnieniem patrzy przez okno; mijające powozy, konie, słowem ruch uliczny zdziwia go i zarazem cieszy.

Ten kandydat do cywilizacyi ma wyraz oczu stosunkowo bardzo łagodny — w formach zachowuje wdzięk i grzeczność.

Między przymiotami szimpansa i orangutanga zachodzi taż sama różnica co i w ich charakterze zewnętrznym.

Kapitan pewnego kupieckiego okrętu opisuje zwyczaje małpy złapanéj na brzegach Afryki.

„Kiedy to zwierzę“, pisze on, „przychodziło na pokład, podawało zwykle rękę kilku majtkom — innym zaś odmawiało tego znaku przyjaźni i zaufania. W krótce jednakże z wyjątkiem jednego, ze wszystkiemi było w dobréj harmonii.

„O jednéj zwykle godzinie stawiano pokarm dla majtków. Małpka oczekiwała chwili téj z widocznemi znakami niecierpliwości, a kiedy stołownicy przy stole zasiedli, całowała z kolei wszystkich, krzycząc przeraźliwie; następnie siadała porówno z innemi do uczty. Czasem, chcąc gniew wyrazić szczekała głosem podobnym do psiego; innym znowu razem krzyczała jak dziecko i drapała sama siebie z gwałtownością.

„Kiedy dano jéj smaczny kawałek, mianowicie cukru, wypowiadała zadowolnienie dźwiękiem jak hę! hę!

„Skala jéj głosu nie była bogatą. Dopóki okręt płynął przez sfery ciepłe, małpka była wesołą i żywą: lecz kiedy się zbliżał ku brzegom Europy widocznie smutniała i stawała się ociężalszą; w końcu wyszukiwała przykryć i niemi ciało swe od zimna ochraniała.

„Starała się ona nawet i powierzchownie podobać; ubieranie się w suknie ludzkie sprawiało jéj wielką przyjemność. Widziano ją razy kilka z dumą przechadzającą się po pokładzie w kapeluszu rogatym.“

W ogrodzie zeologicznym w Paryżu, przed trzydziestu laty był szimpans z wielką inteligencyą. Pewnego razu za jakieś przewinienie zamknięto go do kozy. Siedząc w więzieniu doświadczył uczucia wspólnego wszystkim żyjącym istotom, chęci odzyskania swobody. Ale w tém przedsięwzięciu okazał on spryt i kombinacye godne uwagi.

W pokoju w którym był zamknięty wisiał klucz na gwoździu, klucz otwierający drzwi więzienia. Małpa starała się go schwycić, ale zanadto był wysoko zawieszony, by się jéj to udać mogło. Po próżnych usiłowaniach, przystawia krzesło, staje na niem, klucz zdejmuje, którym następnie drzwi otworzyła.

Oto jeszcze jeden przykład wskazujący, do jak wielkiego rozwinięcia dojść może inteligencya małpy. Na jednym z placów w Londynie, troje czy czworo dzieci przyglądało się małpom tańczącym przy odgłosie bębna. Zachwycały się one przedewszystkiem jedną, władającą wybornie swym instrumentem i która zarazem służyła z dziwną troskliwością jako przewodnik ślepemu właścicielowi. To inteligentne zwierzątko obchodziło z jałmużną widzów, za każdą razą wskazując na ślepego właściciela.

Drobne sztuki monety i owoce sypały się jak grad w nadstawiony przez małpkę bębenek. Małpa następnie spieszyła wszystko złożyć w worku swego pana, nie uroniwszy i nie zataiwszy nic.

Troje dzieci, o których wyżéj mówiliśmy, przy każdem obejściu małpki rzucały pieniądze, zapewne dane przez matkę na łakocie.

Nagle jedno z tych dzieci krzyknęło przeraźliwie chwytając się za głowę. Złodziéj chciał skraść czapeczkę ubraną perełkami, ale udało mu się tylko urwać od niéj kutas złoty. Złodzieja przytrzymano w téj chwili. Zgadnijcie przez kogo?

Przez małpę, która spostrzegłszy złodzieja rzuciła się na niego drąc zębami i pazurami odzienie. Trzymała go dotąd aż nim pomoc policyjna nieprzyszła.

Oto są fakta świadczące o inteligencyi istot, które przy stworzeniu świata poprzedzały człowieka. Wnioski z tąd wyprowadzane, nie obniżają w niczém inteligencyi ludzkiéj — ale podnoszę inteligencyą zwierząt, rzucając nowe światło na kwestyę, która od najdawniejszych czasów wzbudzała ciekawość naturalistów i filozofów.

Z jednéj strony pies będący w ciągłym stósunku z człowiekiem, z drugiéj strony małpa żyjąca w stanie dzikim, świądczą że zdolność myślenia nie jest wyłącznym darem człowieka, i że zwierzęta są obdarzone duchem nietakim wprawdzie jak ludzki, ale mającym z nim pewną analogię.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Powróćmy teraz do Ewuni. Przybyła ona z rodzicami z Liwurno do Rzymu, w końcu roku 1828. Uszczęśliwiona była z téj podróży. Przeczucie jakieś szeptało jéj, że tu tylko odzyska zdrowie. Jakoż siły jéj powracały z dniem każdym, rodzice odetchnęli swobodniéj. Wówczas to szesnastoletnia panienka zabrała się gorliwie do nauki, aby powetować czas stracony. Przyszło jéj to bez trudu, dzięki wrodzonym zdolnościom i nadzwyczajnéj pamięci. Stosownie do woli ojca, odbyła w Rzymie dokładny kurs archeologii, oglądając drogocenne pomniki wiecznego grodu. Przewodniczył jéj w tych wycieczkach sławny archeolog Visconti, fanatyczny miłośnik starożytności pogańskiéj. Na Forum Romanum, na górach Kapitolińskiéj i Palatinskiéj, poznała zabytki Romy, przesławnéj pani świata; w głębi katakumb, na kościach męczenników, na kolosseum u stóp krzyża, wyczytała pierwsze zgłoski chrześciańskiéj cywilizacyi, dla któréj tryumfu potrzeba było aby tarany Gotów i Longobardów, rozkruszyły w proch pyszne świątynie, wznie-

sione ku czci olympiskich bożyszcz, i ku czci zbożyszczonego cezaryzmu! Wspaniałe bazyliki dały jéj poznać rozwijającą się myśl chrześciańską, wyrażoną w nieśmiertelnych arcydziełach dłuta i pędzla. Zwiedzanie przesławnych muzeów wykształciło jéj smak artystyczny. Dodajmy jeszcze grono uczonych podróżników różnéj narodowości, którzy garnęli się w gościnne progi hrabiego S., dodajmy nauczające rozprawy w salonie rodzicielskim, a zrozumiemy o ile bystry umysł dziewczynki, musiał kształcić się pod wpływem takiego otoczenia.

Wówczas to poznała Chateaubrianda: przebywał on w Rzymie jako poseł Karola X. Sława otaczała wtedy pełnym blaskiem imię poety, który oprócz Lamartina nie wielu jeszcze liczył współzawodników. Świetna ta gwiazda pociągała ku sobie oczy Ewuni, zaciekawionéj prześlicznym listem o Rzymie, świeżem dziełem Chateaubrianda. Wielka też była jéj radość, kiedy z powodu wyświęcenia księży w kościele świętego Jana Loretańskiego, hr. Ostrowska, późniejsza Małachowska, zaprosiła do loży hrabiego S. z rodziną. Do tejże loży zaproszony był Chateaubriand. Obrzęd przeciągnął się długo, po nim nastąpiło śniadanie w domu hr. Ostrowskiéj. Te kilka godzin pobytu z wielkim poetą, odebrało wszelki urok Ewuni. Jeśli wielką była zasługa jego i sława, niesłychana pycha czyniła go nieznośnym. Dowcipnie też mówiono o Chateaubriandzie, że w przekonaniu jego, Pan Bóg winien mu tyle wdzięczności za dzieło o Geniuszu Chrześciaństwa, ile mu winni Burbonowie za broszurę napisaną w ich obronie. Patrząc na tę nadętą postać, Ewunia przypomniała sobie te słowa i uznała całą ich słuszność.

Z wiosną 1829 roku hrabia S. z rodziną opuścił Rzym i udał się do Neapolu, gdzie powiew od morza, mniéj czynił dokuczliwym skwar letni. Był podówczas w Neapolu, uczony Strzelecki, późniéj bibliotekarz w Willanowie, z wychowankiem swoim księciem Aleksandrem Czartoryskim. Z Enejdą w ręku oglądali razem, miejsca unieśmiertelnione piórem Wirgillego i sławny grób poety. Zwiedzali razem Pompeją, Herkulanum i Wezuwiusz.

Jeżeli Ewunia zdobyła wielki zasób ogólnych wiadomości, za to wykształcenie jéj pod względem dziejów i literatury ojczystéj bardzo było zacofane, w skutek ciągłych podróży i słabego zdrowia. Strzelecki prześladował ją nieraz, że źle wymawia po polsku. Ale zbliżała się chwila prawdziwéj reakcyi.

W Neapolu otrzymała hrabina list ze Lwowa, od znajoméj swojéj pani Puszetowéj. Korespondentka mówiła z uniesieniem o świetnéj gwiazdzie na literackim widnokręgu, o wielkim poecie litewskim. Na dowód przysłała kilka przepisanych ballad i sonetów. Ewunia odczytała je z zapałem. Te krótkie urywki odkryły przed nią całe bogactwo ojczystego języka, i cały urok rodzinnéj poezyi. Strzelecki widząc jéj uniesienie, wynalazł między książkami swemi, jedyny jaki miał tomik poezyi Adama. Nowy świat otworzył się przed nią.

W jesieni rodzina S. powróciła do Rzymu. W krótce przybył tam i Strzelecki z wychowankiem. Przywiózł z sobą Wallenroda i Dziady, a co więcéj zapewnił, że sam wieszcz przybędzie niezadługo; że zwiedza obecnie północne Włochy z przyjacielem swoim Edwardem Odyńcem, zimę zaś obaj zamierzają przepędzić w Rzymie. Radość Ewuni była nie do opisania. W trzy dni nauczyła się na pamięć Dziadów, w tydzień umiała Wallenroda. Wallenrod zachwycił jéj wyobraźnię. Dziady silnie poruszyły młode serce. Matka podzielała zachwyt córki.

Wieszcz litewski oczekiwany był z niecierpliwością w domu przy ulicy Mercede. Ewunia myślała o nim bez ustanku. Obraz jego wymarzony w młodéj wyobraźni stał jéj wciąż przed oczyma. W myśli jéj Adam był olbrzymiego wzrostu, nosił długi surdut popielaty, z kieszeni wyglądały mu zawsze książki i wielkie zwoje papierów. Przemawiał jak starożytny augur z trójnoga, każde słowo miało być tak palące jak monologi Gustawa z Dziadów.

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila. Dnia jednego, było to w Listopadzie, hr. S. zaproszony był na wieczór do pewnego domu. Za powrotem opowiadał poznanie swoje, z tylko co przybyłemi poetami, Mickiewiczem i Edwardem Odyńcem. Obaj przyrzekli nazajutrz wieczorem, odwiedzić dom hrabiego. Ewunia drżąca od radości i niepokoju, oczekiwała niecierpliwie zwykłéj godziny zebrania. Wieczorem przybył p. Edward sam; oznajmił że przyjaciel słaby nieco w skutek znużenia, zmuszony był odłożyć odwiedziny.

Przyszli obaj we dwa dni potém. Mickiewicz dosyć dziki i odludny w tym czasie, byłby może zwłóczył jeszcze poznanie z rodziną S.; znęciła go jednak ciekawość zobaczenia Ewuni, którą pan Edward przedstawił mu jako żywy portret Marylli Wereszczakównéj.

Wyobraźmy sobie zdziwienie młodéj panienki, gdy zamiast olbrzyma w długim popielatym surducie, zobaczyła poetę w rzeczywistéj postaci, ubranego jak wszyscy. Nie było to jednak rozczarowanie; rzeczywistość była w jéj oczach wyższą od ideału. Uderzyło ją od razu to piękne oblicze, jakby wykute z marmuru dłutem mistrza, nacechowane pogodą i spokojem; te oczy głęboko osadzone, ocienione długą rzęsą, pełne ognia i siły; ta cera blada; oliwkowa, ta brew zarysowana czarnym łukiem, te długie ciemne włosy, odrzucone w bezładzie na tył głowy; uderzyło ją szczególniéj czoło kształtne, wysokie, białe przy ogorzałéj twarzy, to czoło z którego wytryskała niby promienista aureola.

Adam miał wtedy rok trzydziesty drugi. Na pierwszy rzut oka wydawał jéj się starszym; z czoła tylko przyświecał blask młodości.

Utrzymuje ona, że żaden tak dawny jak i późniejszy portret Mickiewicza, nie oddaje dokładnie, ani rysów jego, a tém mniéj wyrazu twarzy. Dawniejsze całkiem niepodobne, późniejsze fotografie, może i wierne, ale tu już nie Adam jakim był w młodych latach. Rysy nawet zmienił do niepoznania.

Jeżeli postać Adama przedstawiła się oczom Ewuni inaczéj niż ją widziała w ideale, to sposób wyrażenia się w większy jeszcze wprowadziły ją podziw. Słowa jego malowały każdą rzecz obrazowo i trafnie, ale z niesłychaną prostotą. Uderzyło ją szczególniéj, gdy przy pierwszém widzeniu, określając kościół świętego Piotra, mówił, że ma czapkę na głowie. Ta czapka wyborną była dla niéj definicyą sławnéj watykańskiéj kopuły.

Zwykle rozmowna i ożywiona, Ewunia tego wieczoru ledwie kiedy niekiedy, ośmieliła się wyrzec słówko. Widok wielkiego poety, odbierał jéj odwagę. Nie spuszczała go z oczu, pochłaniała chciwie każdy wyraz, jaki mu zbiegł przez usta.

W krótce potém hrabia zaprosił na obiad dwóch poetów litewskich. Ewunia siedziała przy Adamie. Milcząca i nieśmiała, jak zwykle w jego obecności; przeczuwała ona instynktowo, całą potęgę tego wielkiego geniuszu; bała się téż odezwać, aby nie powiedzieć coś niepotrzebnego, i nie okazać się dzieckiem w jego oczach. Nie domyślała się wcale, że ten właśnie dziecięcy jéj urok, silniéj pociągał poetę, niżby go pociągnęły najpłynniejsze słowa.

„Zbudowała mnie pani“ rzekł do niéj z uśmiechem przy obiedzie. „Pani jak widzę, nie grzeszy wielomówstwem!“

Ewunia zapłoniła się, spuściła oczy; chciała coś odpowiedzieć: słowa przyrastały jéj do ust.

Bard tymczasem — jak go nazywano w domu — coraz to częstszym bywał gościem. W krótce po tym obiedzie, spodziewany był na wieczór. Zdarzyło się, że hrabia w tym dniu zaproszony do kogoś, zmuszony był koniecznie dom opuścić. Odchodząc niepokoił się bardzo, kto zabawi poetę; hrabina bowiem czekała na odwiedziny dwóch pań, nie zbyt odpowiednich ukształceniem, towarzystwu jakie się w domu zgromadzało. Uprzejma gospodyni czuła się w obowiązku bawić przez wieczór owe panie. Hrabia téż odchodząc z domu, zalecił usilnie Ewuni, aby nie dała się znudzić poecie. Trudnyż to był dla niéj obowiązek. Zadrżała! jak tu zmusić nieposłuszne usta do mówienia?

Spodziewane panie przybyły pierwsze. Hrabina usiłowała wprowadzić rozmowę na ton cokolwiek poważniejszy. Niepodobna! co chwila urywał się wątek. Trzeba było mówić o modach. Usta dwóch pań rozwiązały się cudem. Wpadłszy raz na przedmiot kapeluszów, wymowa płynęła jak żywy strumień wody. Nagle odezwał się dzwonek w przedpokoju: oczy matki i córki spotkały się z trwogą.

Adam wszedł sam jeden do salonu.

Gdyby przynajmniéj towarzyszył mu pan Edward, pomyślała Ewunia, łatwiéj przyszłoby utworzyć jakieś osobne kółko i oddalić od ucha barda, tę nieszczęsną rozmowę o kapeluszach.

Pan Edward pozostał w domu, zajęty zapewne pisaniem jednego z tych prześlicznych listów przeplatanych wierszem i prozą do Juliana Korsaka lub Ignacego Chodźki, tych listów o których tak pięknie wyraża się poetka nasza:

Listy z podróży obiegły świat cały,
Wszędzie witane jak list przyjaciela;
Zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela:
Dowcip z nich puszcza nie zatrute strzały.

Hrabina przedstawiła poetę paaniom.

„Czy to ten co pisze wiersze?“ poszepnęła jéj do ucha jedna z modnych pań, podczas gdy druga rzuciła banalne zapytanie:

„Jakże się panu Rzym podoba? długoż pan tu zabawi?“

„Tak, to nasz wielki poeta“, odszepnęła hrabina.

„Słyszałam jak chwalono wiersze pańskie“, zagadnęła pierwsza, obracając się do Adama. „A czy wiele ich pan napisał?“

„Wiele i nie wiele, jak dla kogo“, rzekł Adam.

„A czy one długie te wiersze?“

„Są na wszystkie miary, i takie króciutkie, i takie, i takie, nawet takie!“ Mówiąc to, dla lepszego określenia rzeczy, lewą ręką znaczył miarę na prawéj, od palca, do końca piędzi, do łokcia aż po ramie.

Druga z pań tymczasem o zgrozo! powróciła do dawnego przedmiotu. Nieszczęsne kapelusze wystąpiły znów na plac.

Ewunia płoniła się, to znowu bladła na przemiany. Próżno łamała głowę jakby zaradzić złemu. Adam tymczasem z całą prostotą właściwą wielkim geniuszom, wmięszał się do rozmowy, o czém? o kapeluszach!

„Nieraz“, rzekł, „przemyślałem nad dwoma rzeczami: w jednéj z nich panie najlepiéj mnie zapewne objaśnią. Gdzie się podziewają stare zające i stare kapelusze?“

Nie wiemy jak panie rozwiązały zagadkę. Co do zajęcy rozwiązał ją późniéj sam poeta, kiedy wsparty podaniem łowieckiém, stworzył w bogatéj wyobraźni ów cudny obraz Matecznika w głębi puszczy litewskiéj:

Kędy blizcy śmierci,
Piora składają ptaki, czworonogi sierści,
Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie;
Kruk kiedy osiwieje, sokół gdy oślepnie.

My na zesłorocznéj wystawie obrazów, widzieliśmy podobny matecznik starych kapeluszy. Był to wózek gałganiarza, z owym epilogiem:

Gdzie zmieciony skrzydłem burzy,
Więdnie urok życia wszystek;
I wczorajszy listek róży,
I wawrzynu zżółkły listek!

Lecz wróćmy do Ewuni. Instynkt kobiecy przyszedł jéj w pomoc. Siadła nieśmiało do fortepianu. Adam stanął za krzesłem. Sposób jéj grania rzewny, słodki jak ona sama, dziwnie przypadł do serca poecie. Zagrała najprzód modną podówczas fantazyą Herca la Violette, następnie Menueta z don Juana. Ten ostatni szczególniéj zachwycił Mickiewicza. Lubił on nadzwyczaj muzykę. Utrzymywał on, że modulacyą tonów, nierównie więcéj można wypowiedzieć, niźli słowem. Od tego pamiętnego wieczoru, Ewunia często grywała na jego prośbę. Nieraz nawet przygrywała mu do improwizacyi dumkę o Filonie, lub znaną pieśń kantyczkową: Anioł pasterzom mówił. Były to dwie uprzywilejowane melodye, które wydobywały natchnione słowo z ust wieszcza.

Razu jednego gdy Adam miał improwizować, p. Edward który czytał w duszy przyjaciela jakby w otwartéj księdze, pragnął uczynić zadosyć jego upodobaniu.

„Niech mu pani zagra piosnkę o Filonie“, rzekł z cicha do Ewuni.

Ona nie znała téj piosenki, ale hrabina pamiętała ją z dawnych czasów.

„Któżby dziś grał takie stare rzeczy!“ rzekła z uśmiechem matka.

„Stare rzeczy!“ powtórzył smutno Adam, i czoło jego powlekło się chmurą. „Wartoż to pisać dla pań! Biedni poeci! za lat dwadzieścia lub trzydzieści, nikt już nie po-

wtórzy, nikt nie spamięta tych słów, które dziś tak serca poruszają.“

Nazajutrz potém, Ewunia umiała grać piosenkę o Filonie.

Muzyka skruszyła pierwsze lody; usta Ewuni rozwiązały się wreszcie. Poeci litewscy stali się codziennymi niemal gośćmi w domu hrabiego. Atmosfera tego domu oddziałała na Mickiewicza. Struna religijna, cokolwiek może przytępiona, silnie zadźwięczała w jego sercu.

Raz gdy przybył wieczorem, Ewunia opowiedziała mu sen jaki miała ostatniéj nocy.

„Śniło mi się“, mówiła, „żeśmy tu wszyscy zebrani byli tak jak teraz. Nagle przyszedłeś pan prowadząc ślicznego baranka, bieluchnego jak mléko, na różowéj wstążeczce.

Mickiewicz zadrżał na te słowa.

„To sen proroczy!“ zawołał z uniesieniem.

„Jakto proroczy?“ zapytała Ewunia, „i cóżby on miał wróżyć?“

„To“, odparł poeta, „że dziś rano przystępowałem do stołu Pańskiego.“

Tajemny węzeł coraz silniéj łączył te dwa serca. Ewunia jednak nie zdawała sobie sprawy z własnych uczuć. Pochlebiało jéj to niewątpliwie, gdy spostrzegła zwróconą na siebie uwagę wielkiego poety, lecz nie widziała w tém zajęciu nic więcéj nad proste współczucie. Matka przezorniejsza od córki, lepiéj może czytała w sercu tak Adama jak i Ewuni, ale dobra matka wysoko oceniała geniusz i charakter wieszcza; w oczach jéj zalety osobiste i potęga tego geniuszu, zapełniały przepaść jaka dzieliła ubogiego Litwina, od panienki wysokiego rodu, przyszłéj dziedziczki milionów. Bez obawy patrzała też w przyszłość, powierzywszy Bogu los córki.

A ojciec? ten zrazu nie dostrzegł wzajemnych uczuć, nie przypuszczał niebezpieczeństwa. Sądząc po sobie mniemał, że młoda hrabianka zbyt wiele ma w sercu rodowéj dumy, aby mogła upodobać sobie człowieka niższego od niéj urodzeniem, majątkiem, kolligacyą. Przyjmował też uprzejmie Adama, pozwalał na to, że nasz wieszcz równie uczony jak genialny, spostrzegłszy w Ewuni nieznajomość historyi i literatury polskiéj, usiłował zapełnić ten brak w jéj wychowaniu. Miał on nie mało książek, przynosił też wieczorami ulubione sobie utwory poetyczne, i czytywał je na głos. Z nowéj literatury najlepiéj lubił Wiesława Brodzińskiego, i tragedyą Kropińskiego Ludgardę.

Z dzieł historycznych, czytywał z Ewunią Wagę, Lelewela, Naruszewicza. Zalecał jéj wypisywać treść z przeczytanych książek, poprawiał sam jéj wypracowania. Łatwo zgadnąć ile Ewunia korzystała przy takim mistrzu!

Spostrzegł wreszcie hrabia, że te lekcye mogą się stać niebezpiecznemi. Czoło jego zasępiało się ilekroć widział Ewunię przy Adamie. Stawał się coraz podejrzliwszy, gniewała go nawet kokarda zielona, koloru nadziei, którą córka nosiła zwykle téj zimy.

Dnia jednego przyniósł jéj angielską książeczkę lady Morgan A book of boudors. Był to zbiór powiastek, przeznaczony dla młodych osób. W jednéj z tych powieści, autorka ostrzega panienki, aby nie ufały miłości poetów. „Poeci bowiem patrzą na świat przez pryzmat własnéj fantazyi: uczucia ich gorące lecz nietrwałe.“

Mieszkała podówczas w Rzymie piękna pani Guicioli Teressa, z płomienistym włosem i czarnemi oczyma, sławna z miłości jaką przed kilku laty obudziła w Bayronie. Poeci nasi bywali niekiedy u niéj, ciekawi szczegółów z życia niedawno zmarłego wieszcza Albionu. Mówiono o niéj często, powtarzano jéj słowa o Bayronie.

„Piękna mi chwała,“ rzekł raz hrabia gdy goście się rezeszli, „żeby kto kiedy wytykał palcem moją córkę, jak dziś wszyscy wytykają tę panią Guicioli!“

Słowa te były surową przestrogą, ale niewinna Ewania wcale nie pojęła ich znaczenia. Wiedziała ona, że pani Guicioli nie żyje z mężem, sądziła że dla tego wytykano ją palcami, że dla tego ojciec sądził ją tak surowo.

Niechęć hrabiego zręcznie pokrywana światową ogładnością, nie uszła przenikliwego wzroku Adama. Czytał on głęboko w tém dumnem sercu; wiernie też oddał myśl hrabiego, w obrazie stolnika Horeszki:

Gdyby nie przyjmował
Mych odwiedzin, to kto wié, możebym odjechał,
Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał;
Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
Udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy,
Żebym ja mógł się starać o związek takowy!
A byłem mu potrzebny, bom miał zachowanie
U szlachty i lubili mnie wszyscy ziemianie;
Więc on niby miłości mojéj nie dostrzegał,
Przyjmował mnie jak dawniéj, a nawet nalegał
Abym częściéj przyjeżdżał, a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną, i już wybuchnąć gotową,
Chytry starzec wnet rzucił obojętne słowo:
O mych dawnych miłostkach, bo prawda niestety!
Że już bałamuciłem i dawniéj kobiety.
Zwyczajnie młody głupiec! On gadając o tém
Przy córce, jakby serce przeszywał mi grotem;
I po takich wspomnieniach w rozpaczy i gniewie,
Czułem że już nie mógłem mówić mu o Ewie.

(C. d. n.)

MĘCZENNICA.

„La faute en est à nous...“
V. Hugo.

Myśmy starzy, zapóźno na ten świat zesłani!...
Patrzymy a nie wierzym co widzimy okiem —
Czujemy — uczuć naszych nie znając otchłani —
Płaczem suchém okiem...

Śmiejemy się — a śmiech nasz cynizmem otruty,
Przysięgamy — a dusza téj przysiędze kłamie;
Śpiewamy — a łza gorżka dźwięku każdéj nuty
Struny bolem łamie...

Ze spojrzeniem jak z piekła, z marmurową skronią,
Z oddechem jak jad węża, czołgamy po świecie —
Zrywamy splugawioną od bezwstydu dłonią
Zasłonę kobiecie...

A gdy biedna ofiara u nóg się nam tarza...
Jak puhar do dna pusty, mrozem uczuć pjani,
Odpychamy ze wzgardą!... Czas przeszłość zamraża!
Myśmy starzy! zapóźno na ten świat zesłani!...

* * *

Leżała ona, święta, na łożu trumiennem —
W około świec las cały — a te żółte cienie
Jak ogniki chodziły po czole kamiennem...
Trumna w kwiaty ubrana... a białe odzienie
Męczennicy!...

U nóg jéj posąg zbrodni — jak wąż czołga... któż on?
On! trup żywy — bez serca! jako gracz obdłużon...
Zaczął grać na jéj sercu — pieśni nie donucił...
Złamał kartę ze śmiechem — złamał kwiat i... rzucił!

Bruksela 1869.

Henryk Merzbach.

KOLEGIUM JEZUICKIE W POZNANIU.

(REGENCYA.)

(Z ryciną.)

Założony przez Ignacego Lojolę a dnia 27. Września 1540 przez papieża Pawła III potwierdzony zakon Jezuitów rozpowszechnił się w krótkim stosunkowo czasie po całéj Europie. Do wzrostu jego potęgi przyczyniło się nie tylko to, iż zakon ten miał na celu być ślepém narzędziem w ręku papieży*) dla pomnażania ich władzy kościelnéj i świeckiéj, ale nadto pomogły do tego i znakomite prerogatywy, jakiemi wyposażył go papież Juliusz III, który nadał Jezuitom prawa i przywileje nietylko wszystkim dotąd zakonom, ale i duchowieństwu świeckiemu służące. Papież ten uwolnił nadto nietylko ich samych, lecz także wszystkie ich posiadłości od wszelkiéj władzy biskupiéj i świeckiéj, od wszelkich podatków i ciężarów. Jezuici odtąd prócz swego przełożonego (generała) i samego papieża nie mieli żadnéj innéj władzy nad sobą. Nawet podczas interdyktu mieli oni prawo odbywać wszelkie funkcye kapłańskie, mogli samodzielnie uwalniać od wymierzonych kar kościelnych, bez poprzedniego papieskiego pozwolenia budować wszędzie kościoły i zakładać klasztory, nabywać dobra, a nawet mogli się sami podług własnego uznania w danych okolicznościach dyspensować od postów i używania brewiarza.

Nadzwyczajnie przebiegła organizacya tego zakonu, zręczność i śmiałość pierwszych, a niemniéj i wielu późniejszych jego generałów sprawiły, iż Jezuici w krótkim już czasie stanęli tak wysoko i tak wielką zdobyli sobie potęgę, iż żaden inny zakon nie mógł się z nimi równać.

Do Polski sprowadził Jezuitów Stefan Batory, do Poznania zaś biskup Adam Konarski w r. 1571. Spory religijne pomiędzy katolikami a lutrami i kalwinami, głównie zaś doświadczenie, że wielka część możnéj szlachty polskiéj, która mniéj z przekonania a więcéj tylko dla nowości przyjęła luteranizm, a mianowicie kalwinizm, pozwalały się spodziewać, iż Jezuici, — przeznaczeni do walki z innowiercami, wprawni w używaniu wszelkich subtelności sofistycznych, wyposażeni nadto wszelkiemi naukami, wolni od rubaszności klasztornéj, właściwéj innym zakonom, nie stroniący od wykwintności i gładkiego ułożenia ludzi światowych, — wkrótce potrafią odciągnąć możną szlachtę od nowo powstałych wyznań, u innych zaś warstw społeczeństwa polskiego tak je podkopać, iż zupełną nad niemi przewagę katolicyzmu zapewnić zdołają. Środka, który i dziś chcą wyłącznie mieć w swém ręku, użyli i wtenczas Jezuici, zakładając wyższą szkołę w Poznaniu dnia 25. Czerwca 1573 roku. Licząc w swém gronie ludzi zdatnych, których wszelkiemi sposobami pozyskiwać sobie umieli, posiadając niezmierne fundusze, założyli znaczną bibliotekę, urządzili obserwatoryum astronomiczne, otworzyli dla swych celów drukarnią i zaczęli wszelkich dokładać starań, aby szkołę swą wynieść do stopnia akademii, na co przywiléj od Zygmunta III, którego całkiém jako swe narzędzie używali, a potém od Jana III w roku 1679 uzyskali. Akademia krakowska, widząc grożące sobie niebezpieczeństwo, zaprotestowała przeciw zamiarom Jezuitów na mocy dawnych praw sobie przysługujących i dopięła tego, iż nadane Jezuitom przywileje cofnięte zostały.

Szkoły te Jezuitów poznańskich znajdowały się aż do początku wieku osiemnastego w ich kolegium, dopiero późniéj zbudowali oni osobny do tego gmach, istniejące jeszcze dzisiaj stare gimnazyum św. Maryi Magdaleny przy kościele farnym.

Kolegium ich czyli klasztor, zbudowane w roku 1572 zaraz w samym początku ich osiedlenia się w Poznaniu, pokazało się wkrótce za szczupłém, ponieważ ledwie tylko 30 członków pomieścić było w stanie. Kiedy majątek Jezuitów poznańskich, a z nim wpływ i liczba ich coraz bardziéj wzrastać poczęły, musieli oni powiększyć swe kolegium przez różne przybudowania. Że jednak i to wystawności ich i potrzebom pomieszczenia tak samych członków, jak i wszelkich muzeów, biblioteki, apteki, obserwatoryum, drukarni, warsztatów dla własnéj potrzeby i t. p. nie wystarczało, postanowili po roku 1650 znieść dotychczasowy budynek, a na miejscu jego postawić całkiém nowy wraz z kościołem, którego kamień węgielny położono w r. 1651 dnia 15 Maja. Budowniczym i twórcą planu tego kościoła był Bartłomiéj Wąsowski, późniejszy rektor kolegium poznańskiego. Tymczasem wybuchła wojna szwedzka, powstały rozmaite zaburzenia domowe i zaraźliwe choroby, które zmusiły Jezuitów do powstrzymania rozpoczętéj budowy. Nieprzyjaźni katolicyzmowi Szwedzi, zająwszy Po-

*) Przeznaczenie ich na ten cel wyrażone zostało zdaniem: „mają być jakoby trupem", „perinde acsi cadaver essent." Zob. Instit. Soc. Jesu. Pragae 1757. I. 408.

znań, przez nienawiść do Jezuitów zniszczyli do tego stopnia już dość daleko doprowadzoną budowę, iż tylko nagie mury pozostawili. Po ukończeniu wojny szwedzkiéj zajęli się Jezuici zbudowaniem kościoła, czego w r. 1701 dokonali.

W pierwotnéj swéj postaci posiadał kościół ten kopułę, zniesioną dopiero za panowania Stanisława Augusta. Ślady jéj jeszcze dzisiaj można spostrzedz we wnętrzu kościoła na wolném miejscu pomiędzy kazalnicą a wielkim ołtarzem, ponieważ w dolny otwór kopuły zaciągnięto sufit, z którego w późniejszym czasie tynk poodpadał tak, iż dzisiaj świecą nagie wiązania drągowe.

Skończywszy budowę kościoła zajęli się Jezuici usilnie zbudowaniem nowego kolegium, które ukończono w r. 1733. Ogromny ten gmach zbudowany jest w klamrę, któréj podstawa czyli część główna obrócona ku południowi, zagięcia zaś czyli boki, wzniesione po wschodniéj i zachodniéj stronie, skierowane są ku północy. Zachodnia część graniczy bezpośrednio z kościołem, dzisiaj farnym. Ponieważ przednia strona gmachu była całkiém otwartą, postanowiono symetrycznie ją zamknąć i to w ten sposób, że w samym środku linii zbudowano wysoką i obszerną wieżę z bramą do wjeżdżania i umieszczenia zegara, po obu zaś bokach jéj postawiono dwupiętrowe domy, z których zachodni łączy się bezpośrednio z samym kościołem, wschodni zaś dotyka wschodniego pawilonu. Całość zamyka obszerne podwórze w kształcie czworoboka. Kościół i gmach ten kosztowały około 350,000 talarów.

Chociaż kolegium poznańskie, — zbudowane o 4 piętrach, mające w swéj części środkowéj 190 łokci długości, którego pawilony liczą: zachodni (krótszy) 55, a wschodni 132 łokcie długości, — jest gmachem ogromnym, a zarazem tak silnie zbudowanym, iż grubość murów jego nad fundamentami wynosi po półczwarta łokcia, to jednakże i przy tych swych rozmiarach nie wystarczało zupełnie dla 70 zakonników, znacznéj liczby braciszków (malarzy, snycerzy, muzyków, budowniczych i t. p.), rozmaitych sług i do pomieszczenia licznych zbiorów naukowych, apteki, obserwatoryum, drukarni i t. p. zakładów. Okoliczność ta możeby była w późniejszych czasach zniewoliła Jezuitów do powiększenia już i tak wielkiego gmachu, gdyby nie katastrofa, która świat zdumieniem, a ich samych zgrozą przejęła, to jest zniesienie ich zakonu przez papieża Klemensa XIV w roku 1773. Tak runął zbyt ufny w potęgę swą i bogactwa zakon, stawszy się niebezpiecznym nawet dla tych, których główną miał być podporą. Jego siła stała się upadku jego przyczyną. Nieruchomy majątek jego przeszedł na skarb rzeczypospolitéj, a ruchomości jego, drogocenne zbiory i t. p. rozszarpali pomiędzy siebie możni lub ich zausznicy. Wszystkie cenne zbiory naukowe, znakomite narzędzia astronomiczne i fizykalne, jakich w tym doborze i doskonałości nie było w całéj Polsce, poznikały bez śladu, tylko część bardzo znacznéj biblioteki dostała się podobno akademii krakowskiéj. Kolegium poznańskie, należące do najbogatszych w całéj Polsce, którego pierwszym rektorem był Jakób Wujek z Wągrówca, tłomacz całego pisma świętego i autor innych dzieł treści teologicznéj, po rozbiorze Polski stało się własnością rządu pruskiego. W budynku samym mieszka naczelny prezes Wielk. Księstwa Poznańskiego i znajdują się biura administracyi całéj prowincyi, tak samego naczelnego prezydyum, jak i regencyi departamentu poznańskiego. W nowszym czasie umieszczono tutaj także nowe archiwum rządowe (Staatsarchiv), utworzone z zebranych, dawniéj po różnych miejscach rozrzuconych dokumentów, dotyczących tych części dawnéj Polski, z których składa się obecne Wielkie Księstwo Poznańskie.

Szarada.

Pierwsza ucho pieści, wesoło zabawia,
A pierwsza i trzecia to ziemię uprawia.
Druga z trzecią miasto w przepysznéj krainie,
Z powietrza miłego i zdrowego słynie.
Druga i pierwsza mąż często wymieniany,
Naród wolny jest nim reprezentowany.
Wszystko zaś strzegą kraje i narody,
I rozległe włości i małe zagrody.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 17: *Garibaldi.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu F. X. twórcy wiersza: „Odpowiedź płaczącéj.“ Niezamieścimy — forma niebyłaby złą, ale treści brak. — Panu Zającowi: Dziękujemy — może, z małemi zmianami zrobimy później z niéj użytek. — Panu Ign. S. kan. filozof. we Lwówku: Wierszyk ładny. Dziękujemy zań i nadal o pamięć prosimy. Wkrótce listownie się z komunikujemy. — Panu X. X. w Poznaniu: Rzuciliśmy do kosza. — Autorowi: „Upuszczenia krwi niemieckiéj“ Zrobimy z tego użytek, za jego pamięć i dobre chęci dla pisma, serdecznie dziękujemy. — Pani L. Ludmile pod Pleszewem: Zechciéj Pani przysłać — przypuszczamy że się nada do druku.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)